

Sajens Fikszyń

science fiction - historia - wojsko



Henry Kuttner

Zimna wojna

Henry Kuttner

Zimna wojna

Ostatni z rodu Pughów

Myślę, że już zawsze od tej pory ból głowy będzie mi się kojarzył z Pughiem Juniorem. To chyba najbardziej odrażający gówniarz, jakiego w życiu widziałem. Zbudowany jak młody goryl. Tłusta, ciastowata gęba, złośliwe spojrzenie, a oczy tak blisko osadzone, że można by je wydłubać oba naraz, jednym palcem. Ale jego tata. i tak był o nim bardzo wysokiego mniemania. Może to i nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że mały Pugh to wykapany ojciec.

- Ostatni z rodu Pughów - mawiał stary wypinając pierś i z zachwytem patrząc na młodego goryla. - Najwspanialszy chłopak pod słońcem.

Czasem robiło mi się zimno, jak patrzyłem na tych dwóch. Z rozrównieniem wspominam te cudowne czasy, kiedy ich nie znałem. Możecie mi wierzyć, ale mało brakowało, żeby ci dwaj Pughowie, ojciec i syn, podbili świat.

Bo my, Hogbenowie, jesteśmy ludzie skromni. Nie zadzieramy nosa i pędzimy spokojne życie w naszej dolinie, gdzie nikt się do nas nie zbliża nie proszony. Nasi sąsiedzi i ludzie z miasteczka już się do nas przyzwyczaili. Wiedzą przede wszystkim, że nie wchodzimy nikomu w paradę. Więc mają dla nas wyrozumienie.

Jeśli tata się upije, jak na przykład w ubiegłym tygodniu, i nadleci nagle nad sam środek Main Street w swoich czerwonych gatkach,

większość ludzi udaje, że tego nie widzi, żeby nie krępować mamy. Wiedzą przecież, że gdyby był trzeźwy, chodziłby normalne po ziemi „jak Pan Bóg przykazał.”

Tym razem tata się zalał z powodu Małego Sama, naszego Bobasa, którego trzymamy w pojemniku w piwnicy, a który znów zaczął ząbkować. Po raz pierwszy od czasu wojny Północy z Południem. Już myśleliśmy, że ma to z głowy, ale z Małym Samem nigdy nie wiadomo. Był bardzo niespokojny.

Profesorek, którego trzymamy w butelce, powiedział nam kiedyś, że Mały Sam wydaje z siebie coś tam pod dźwiękowego, kiedy płacze, ale on tak zawsze gada. To nic nie znaczy. Po prostu te wrzaski grają człowiekowi na nerwach, i tyle. Tata tego nie wytrzymuje. Tym razem Bobas obudził nawet dziadka na strychu, a dziadek przecież nie drgnął nawet od Bożego Narodzenia. Pierwsza rzecz, jak tylko otworzył oczy, rzucił się na tatę jak w-ściekły pies:

- Widzę cię, ty trąbo jerychońska! - wrzasnął. - Znów latasz, tak? Żałosny widok! Bacz, abym ci nie urządził przymusowego lądowania!
- Zaraz potem rozległ się daleki łomot.

- Zwalileś mnie z wysokości dobrych dziesięciu stóp! - wrzasnął tata hen z głębi doliny. - To nie fair. Mogłem coś zniszczyć!

- Zniszczysz nas wszystkich przez swoją pijacką nieuwagę - powiedział dziadek. - Latać na oczach sąsiadów! Za mniejsze rzeczy palili ludzi na stosie! Chcesz, żeby ludzkość się o nas dowiedziała? A teraz zamknij się, muszę się zająć Bobasem.

Jeden dziadek potrafi uspokoić Bobasa, jak już nikt nie może sobie z nim poradzić. Tym razem zaśpiewał mu taką jedną piosenkę w

sanskrycie i już po chwili chrapali obaj w duecie.

Ja byłem akurat zajęty majstrowaniem dla Mamy takiego specjalnego urządzenia, żeby mogła zakwasić trochę śmietany na placki. Nie bardzo miałem z czego to sklecić, nie było nic poza starymi sankami kawałkami drutu, ale też i niewiele potrzebowałem. Próbowałem właśnie skierować koniec drutu na północny wschód, kiedy mignęły mi w lesie kraciaste portki.

Był to wujek Lem. Słyszałem, jak myśli.

- To nie ja! - mówił całkiem głośno w swojej głowie. - Zajmij się swoją robotą, Saunk! Jestem dalej o milę od ciebie. Twój wujek Lem to przyzwoity starszy pan i nigdy i kłamie. Czy sądzisz, Saunkie, że bym cię oszukał?

- Jasne, że byś mnie oszukał odpowiedziałem mu w myśli. Gdybyś tylko mógł. Powiedz, co ty kombinujesz, wujku Lem?

W tym momencie wujek zwolnił trochę i zataczając szerokie koło zaczął się zniżać.

- A, tak mi przyszło do głowy, twoja mama może by chciała trochę musu jagodowego - pomyślał kopiąc nonszalancko kamień. - Gdyby kto pytał, to powiedz, że mnie nie widziałeś. Bo to prawda, nie widzisz mnie przecież.

- Wujku Lem - pomyślałem, całkiem głośno. - Dałem mamie harcerskie słowo honoru, że cię samego nigdzie nie puszczę, po tym jak nam ostatnim razem uciekłeś...

- No, no, no, mój chłopcze myślał szybko wujek Lem. - Co było,

to było.

- Przyjacielowi się nie odmawia wujku - przypomniałem mu, kończąc okręcać płożę drutem. Poczekaj chwilkę, aż się ta śmietana zsiądzie i wtedy pójdziemy razem, gdziekolwiek się wybierasz.

Mignęły mi znów wśród krzaków jego portki w kratkę i po chwili z śmieszkiem winowajcy pojawił się wujek Lem. Wujek jest mały i tłusty. Wiem, że chce jak najlepiej, ale prawie każdy może go namówić do prawie wszystkiego. Dlatego nie spuszczaamy go z oka.

- Jak ty to robisz? - spytał patrząc na dzbanek ze śmietaną. - Poganiaasz te małe stworzonka, aby zasuwały prędzej?

- Wujku Lem! - powiedziałem Nie udowaj głupiego. To by było okrucieństwo w stosunku do tych pocziwych zwierzątek - a na to bym sobie nigdy nie pozwolił. Te maleństwa i tak dostatecznie ciężko pracują, żeby zakwasić zwykłe mleko. To takie kruszynki, że mi ich naprawdę żal. Trudno je nawet zobaczyć, jeśli się nie zrobi zez. Tata mówi, że to enzymy. Ale ja nie wierzę. Są za malutkie

- że malutkie to fakt - przyznał wujek Lem. - No więc jak zamierzasz z tego wybrnąć?

- O, to tutaj urządzenie - powiedziałem z pewną dumą - wysła ten maminy dzbanek ze śmietaną w przyszły tydzień. W taką pogodę śmietana nie potrzebuje na skwaśnienie więcej jak dwa dni, ale ja dam jej dużo czasu. Jak ją ściągnę z powrotem, będzie kwaśna raz-dwa-trzy. - Postawiłem dzbanek na sankach.

- Nigdy nie widziałem takiego zmyślnego brzdąca - powiedział wujek Lem. Podeszedł do mnie i wygiął drut na krzyż. - Lepiej zrób to w

ten sposób, ze względu na burzę, która będzie we wtorek. No, dobra, możesz wysłać śmietanę.

No to ją wysłałem. Kiedy wróciła, była taka zsiadła, że mysz mogłaby po niej spacerować. Po dzbanku łaził szerszeń z przyszłego tygodnia; rozduśiłem go. Ale to był błąd. Wiedziałem to od chwili, kiedy dotknąłem dzbanka. Cholerny wujek Lem.

Z powrotem skoczył w krzaki piszcząc z radości.

- A jednak cię tym razem oszukałem, ty mały śmierzdielu - wrzasnął. No, zobaczmy, jak sobie poradzisz z wyciąganiem palca ze środka przyszłego tygodnia!

A to wszystko przez opóźnienie. Powinienem był wiedzieć. Kiedy wujek Lem skrzyżował ten drut, wcale nie miał na myśli burzy. Straciłem prawie dziesięć minut na to, żeby się uwolnić, a wszystko przez taką jedną, co się nazywa Inercja i co zawsze wsadzi swoje trzy grosze, jeśli człowiek nieostrożnie igra z czasem. Sam niewiele z tego rozumiem. Jeszcze nie mam swoich lat. Wujek Lem twierdzi, że zdążył już zapomnieć więcej, niż ja się kiedykolwiek w życiu na uczyć.

Z tego wszystkiego straciłem go niemal z oczu. Nie miałem się nawet czasu przebrać w kupne ubranie, a po tym, jak wujek był odpalony, wiedziałem, że się wybiera w jakieś eleganckie miejsce.

Ale i on był zdenerwowany. Bez przerwy natykałem się na resztki jego niespokojnych myśli, które wisały na gałązkach krzaków jak małe strzępki chmur. Niewiele mogłem z nich zrozumieć, bo zanim do nich dojrzałem, rozplywały się w powietrzu, ale jedno jest pewne: wujek Lem zrobił coś, czego nie powinien zrobić. Było to chyba jasne dla każdego. No więc te myśli szły mniej więcej tak:

„Szkoda. szkoda, szkoda... bodajbym nigdy tego nie zrobił... Boże, zmiłuj się... jakby się tak dziadek dowiedział... ach, ci wstrętni Pughowie, jak mogłem być taki głupi? Szkoda, szkoda, szkoda... biedny stary pocziwina, nigdy nikomu nie zrobiłem nic złego, no i teraz patrzcie...

Ten Saunk to sobie trochę za dużo wyobraża, trzeba mu dać nauczkę. Och, szkoda, szkoda... a zresztą co się przejmować, głowa do góry, wszystko będzie dobrze. Zasługujesz na to, pocziwy Lemuelu. Dziadek nigdy się nie dowie".

Po chwili mignęły mi jego kraciaste portki wśród krzaków, ale dogoniłem go dopiero, jak zszedł ze wzgórza i przemierzywszy podmiejskie tereny piknikowe znalazł. się na stacji kolejowej i hiszpańskim dublonem, którego ukradł tacie z jego skrzynki żeglarskiej, stuknął do okienka kasy.

Nie zdziwiłem się wcale, kiedy usłyszałem, że prosi o bilet do State Center. Pozwoliłem mu myśleć, że go nie dogoniłem. Jakiś czas klóci się z kasjerem, ale na koniec wsadził rękę do kieszeni i wyjął srebrną dolarówkę. Facet się uspokoił.

Pociąg już sapał dojeżdżając do stacji, kiedy wujek Lem wyskoczył zza rogu. Nie miałem zbyt wiele czasu, ale jakoś zdążyłem - w ostatniej chwili. Kilka jardów musiałem nawet podfrunąć, ale chyba nikt tego nie zauważył.

Dawno temu, jak byłem jeszcze małym brzdącem, w Londynie, gdzie wtedy mieszkaliśmy, wybuchła wielka epidemia i my, Hogbenowie, musieliśmy się wynosić. Pamiętam wielki zgiełk .w mieście, ale jak teraz patrzę wstecz, wydaje mi się on niczym w porównaniu

ze zgiełkiem, jaki panował na stacji State Center, kiedy zajechał nasz pociąg. No cóż, czasy się zmieniły.

Gwizdki gwizdały, klaksony trąbiły, radia wyły jak diabli - mógłbym przysiąc, że każdy wynalazek z ostatnich dwustu lat jest głośniejszy od wszystkiego, co było dotychczas. Rozboliła mnie głowa i dopiero musiałem sobie odpowiednio ustawić to, co tata nazywa poziomem odporności na decybele; no cóż, popisywał się jak zwykle.

Wujek Lem nie wiedział, że jestem w pobliżu. Uważałem, żeby myśleć naprawdę cicho, ale wujek tak był zajęty swoimi zmartwieniami, że dosłownie na nic nie zwracał uwagi. Poszedłem więc za nim przez zgromadzony na stacji tłum i potem na szeroką i bardzo ruchliwą ulicę. Co za ulga zostawić wreszcie za sobą te wszystkie pociągi.

Nie mogę nawet pomyśleć; co się tam dzieje wewnątrz tych kotłów jak te stworzonka, tak małeńkie, że ich prawie nie widać, w nieustannej gonitwie, rozparzone biedactwa i podniecone, stukają się bez przerwy głowami. Żalсна sprawa.

Oczywiście myślenie o tym, co się dzieje wewnątrz mijających nas samochodów, nic nie pomaga.

Wujek Lem dobrze wiedział, dokąd zmierza. Ruszył ulicą tak szybko, że nieraz miałem pokusę kawałek podfrunąć. Cały czas się zastanawiałem, czy nie powinienem się porozumieć z rodziną na wypadek, gdyby stało się coś takiego, z czym bym sobie sam nie dał rady, ale dosłownie co się ruszyłem, to gdzieś utknąłem. Mama miała być po południu na jakimś zebraniu parafialnym, a ostatnim razem jak się nagle do niej odezwałem i to wypadło samemu wielebnemu Jonesowi nad uchem, dała mi w łeb. On się jeszcze do nas nie przyzwyczał.

Tata zalał się w trupa. Nie było sensu go nawet próbować budzić. A ja umierałem ze strachu, że, jak zawołam na dziadka, to obudzę Bobasa.

Wujek Lem przemknął tuż koło mnie, ale mignęły mi tylko jego kra-
ciaste nogi. I on był w głębi serca zaniepokojony. Zobaczył w bocznej
ulicy tłum zebrany wokół dużej ciężarówki. Ludzie gapili się na mę-
czyznę, który stał na wierzchu i wymachiwał oburącz napełnianymi
czymś butelkami.

Najwyraźniej wygłaszał jakąś mowę na temat bólu głowy. Słysza-
łem go aż zza rogu ulicy. Do skrzyni ciężarówki przyczepione były po
obu stronach transparenty głoszące. „PUCHA EKSTRAKT NOWY
- IDEALNY NA BÓL GŁOWY”.

- Oj szkoda, szkoda! - myślał wujek Lem. - O, niech ja skisnę, co ja
teraz zrobię?! W życiu nie podejrzewałem, że ktokolwiek mógłby się
ożenić z Lily Lou Mutz. Oj, co za szkoda!

No cóż, wszyscy byliśmy zdziwieni, kiedy z jakie dziesięć lat temu
Lily Lou Mutz znalazła amatora; tak myślę. Ale co to miało wspól-
nego z wujkiem Lemem - nie miałem zielonego pojęcia. Lily Lou
to było chyba najszeptniejsze stworzenie płci żeńskiej, jakie kiedy-
kolwiek chodziło po Ziemi. A zresztą „najszeptniejsze” to jeszcze nie
to słowo, biedactwo.

Dziadek powiedział kiedyś, że przypominała mu takie znajome sio-
stry Gorgony się nazywały. Pocziwe było nawet stworzenie z tej Lily
Lou. Ze swoją urodą niejedno musiała wycierpieć od ludzi z miastecz-
ka - to znaczy od hołoty.

Mieszkała samotnie na wzgórzu, w nędznej chałupince, i musiała

mieć już pod czterdziestkę, kiedy jeden facet, co to mieszkał po drugiej stronie rzeki, poprosił ją pewnego dnia o rękę, wprawiając całe sąsiedztwo w osłupienie. Nigdy go nie widziałem na oczy, ale mówią, że i on nie był mister universum.

Kiedy się nad tym zastanowiłem, patrząc wtedy na tę ciężarówkę, doszedłem do wniosku, że facet nazywał się Pugh.

Miły starszy pan

W pewnym momencie zauważyłem, że wujek Lem zobaczył kogoś pod latarnią na skraju tłumu i podreptał w tamtą stronę. Tak na moje oko stał tam stary goryl z małym gorylem i gapili się na faceta w ciężarówce sprzedającego na dwie ręce płyn w butelkach.

- Chodźcie, bierzcie! - darł się. Każdy po swoją butelkę Niezawodnego Leku na Ból Głowy, póki jeszcze jest!

- Cześć, Pugh, jestem - powiedział wujek Lem do dużego goryla.
- Cześć, Junior - dodał zaraz potem, spoglądając na młodego. Widziałem, jak się wstrząsnął nieznacznie.

I trudno się dziwić. Dwóch ohydniejszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego nie widziałem w życiu. Gdyby nie mieli takich ciastowatych gąb, albo gdyby byli chociaż ciut-ciut szczuplejsi, może by mi tak nie przypominali dwóch tłustych ślimaków: dorosłego i młodego.

Ojciec był wystrojony odświętnie, ze złotą dewizką na brzuchu, i z tego jak dumnie stapał, można by sądzić, że się nigdy dobrze nie obejrzał w lustrze.

- Sie masz, Lem - powiedział od niechcenia. - Przychodzisz w samą porę. No, Junior, powiedz panu Lemowi Hogbenowi dzień dobry. Wiele mu zawdzięczasz, synu. - I roześmiał się paskudnie.

Junior nie zwrócił na niego uwagi. Oczki jak paciorki utkwiał w tłumie po drugiej stronie ulicy. Wyglądał na jakieś siedem lat, a był złośliwy jak wszyscy diabli.

- Czy mogę to zrobić. teraz, tato? zaskrzeczał. - Mogę dać im teraz, co im się należy? Co, tato? - Sądząc a tonu, jakim to mówił, przestraszyłem się, że ma pod ręką odbezpieczony karabin maszynowy. Spluwy wprawdzie nie widziałem, ale gdyby spojrzenie mogło zabijać, Pugh Junior skosiłby cały tłum za jednym zamachem.

- Dzielny malec, co, Lem? - powiedział tata Pugh z wyraźnym zachwytem. - Muszę ci powiedzieć, że jestem naprawdę dumny z tego chłopaka. Szkoda, że jego kochany dziadek nie może tego zobaczyć. Pughowie to stary, wspaniały ród. Nie ma takiego drugiego. Jedyne moje zmartwienie to to, że Junior jest ostatni. Rozumiesz, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć, Lem. Lem znów się wzdrygnął.

- Ha - powiedział - rozumiem. Ale tracisz tylko czas, Pugh. Ja tego nie zrobię.

Młody Pugh obrócił się na pięcie. - Tata, mogę mu teraz dołożyć? zaskrzeczał, bardzo ożywiony. - Mogę, tata? Teraz, tata, co?

- Zamknij się, synku - powiedział duży Pugh i dzielił małego przez

łeb. A łapy miał jak bochny. Naprawdę był zbudowany jak goryl. Widać te jego potężne ręce zwisające z pochyłonych ramion, można było sądzić, że chłopak przeleci na drugą stronę ulicy, ale ten. mały też miał krzepę nie lada. Zachwiał się tylko ciut-ciut, potrząsnął głową i zrobił się czerwony na gębę. A następnie wrzasnął głośno i skrzekliwie:

- Ostrzegalem cię, tata! Ostatnim razem, jak mnie zasunąłeś, to cię ostrzegalem! Zobaczysz, teraz ty oberwiesz.

Nabrał powietrza, jego małe oczka zrobiły się takie błyszczące i wylupiaсте, że mało mu się nie spotkały pośrodku nosa, a ciastowata gęba poczerwieniała.

- O'kay, Junior - powiedział tata Pugh, dość pospiesznie. - tamci są gotowi. Szkoda twoich sił na mnie, synku. Zostaw to dla tych ludzi.

Przez cały ten czas stałem na skraju tłumu słuchając i nie spuszczaając wujka Lema z oka. Ale w pewnej chwili ktoś mnie potrząsnął za ramię i odezwał się bardzo grzecznie ciekim głosem

- Przepraszam, ale czy mogę o coś zapytać?

Spojrzałem. Był to mały, chudy człeczyna o życzliwym wyrazie, twarzy. W rękę trzymał notes.

- Nie mam nic przeciwko temu odparłem, też bardzo uprzejmie. Proszę, niech pan pyta.

- Ciekaw jestem po prostu, jak się czujesz, nic więcej - powiedział chudy człowieczek trzymając ołówek nad papierem, w każdej chwili gotów notować.

- Dziękuję, świetnie - odpowiedziałem. - To ładnie z pana strony, że pan pyta. Mam nadzieję, że i pan się czuje dobrze:

Potrząsnął głową, jak gdyby z lekko zamroczony.

- W tym sęk - rzekł - że zupełnie tego nie rozumiem, ale czuję się świetnie.

- Dlaczegożby nie? Taki piękny dzień.

- Wszyscy się tu świetnie czują ciągnął dalej, jakbym się w ogóle nie odzywał. - Poza normalnymi wyjątkami, wszyscy w tym tłumie są po prostu przeciętnie dobrego zdrowia. Ale w ciągu pięciu minut, a, może nawet mniej, tak to oceniam... - spojrzął na zegarek. .

Właśnie w tym momencie ktoś walnął mnie w głowę rozpalonym do czerwoności młotem kowalskim.

Wiadomo, że Hogbenowi nie można nic zrobić waląc go w głowę. Trzeba być głupcem, żeby w ogóle próbować. Kolana leciutko się pode mną ugięły, ale trwała to zaledwie kilka sekund i już po chwili się rozglądałem, kto mnie dzielił.

Ale nigdzie w pobliżu nie było żywego ducha. Tylko jęki i stękania dochodzące z tłumy. Ludzie łapali się za głowy i zataczając się, wsparci jeden o drugiego, walili ulicą do ciężarówki, gdzie mężczyzna wydawał butelki z lekiem na ból głowy tak szybko, jak tylko nadążał inkasować banknoty dolarowe.

Chudy człeczyna o zycziwej twarzy przewracał oczami jak kaczka w czasie gradobicia.

- O, moja głowa - jęczał. - Co ja ci powiedziałem! O, moja głowa! - A potem, grzebiąc w kieszeni, podreptał w stronę ciężarówki.

Rodzina zawsze uważała mnie za głupka, ale trzeba byłoby nie mieć za grosz rozumu, żeby się nie zorientować, że dzieje się tu coś bardzo dziwnego. A ja naprawdę nie jestem głupol, obojętne, co mama o mnie mówi. Obróciłem się na pięcie i rozejrzałem za Pughiem Juniorem.

No i właśnie: stał sobie spokojni, mały padalec z tłustą głową, czerwoną jak pomidor, cały nadęty i tylko łyskał swoimi złośliwymi oczkami w stronę ludzi.

- Zły urok - pomyślałem sobie, całkowicie spokojny. - Nigdy bym nie uwierzył, ale to najprawdziwszy zły urok. Tylko że jak do licha...

I wtedy przypomniałem sobie Lily Lou Mutz i to, co wujek Lem myślał do siebie. I zaczęło mi się przejaśniać...

Ludzie dostawali szału, żeby się docisnąć do leku od bólu głowy i musiałem się do wujka Lema dosłownie przedzierać. A był już chyba najwyższy czas, żeby mu pospieszyć z pomocą, biorąc pod uwagę jego miękkie serce i słabą głowę.

- Nie, szanowny panie - mówił właśnie bardzo stanowczo. - Ja tego nie zrobię, Pod żadnym pozorem.

- Wujku Lem - powiedziałem. Założę się, że podskoczył na jakiś jard w górę. ..

- Saunk! - zapiszczał. Zaczerwienił się i uśmiechnął zupełnie zbaraniały, a potem wpadł w złość, ale jednocześnie widziałem, że na mój

widok odczuł ulgę. - Mówiłem ci, żebyś za mną nie chodził!

- A mama mi przykazała, żebym wujka nie spuszczał z oka - odparłem. - Obiecałem to mamie, a my, Hogbenowie, zawsze dotrzymujemy słowa. Co tu się dzieje, wujku Lem?

- Och, Saunk, wszystko się popieprzyło! - jęknął wujek. - Ja, człowiek o złotym sercu; o rwały włos bym zginął. Poznaj pana Eda Pugh, Saunk. On chce mnie zabić.

- Ależ Lem - odezwał się Ed Pugh - wiesz dobrze, że tak wcale nie jest. Po prostu dochodzę swoich praw i to wszystko. Miło mi cię pozna, młody człowieku. Jak się domyślam, jeszcze jeden z rodu Hogbenów? Być przekonasz swojego wuja...

- Przepraszam, że panu przerwie panie Pugh - odezwałem się, naprawdę grzecznie. - Ale może by mi pan coś wyjaśnił. Bo ja nic z tego rozumiem.

Pugh odchrząknął i wypiął dumnie pierś. Widać było, że to jest temat na który lubi mówić. że czuje się wtedy ważny.

- Nie wiem, czy znałeś moją drogą żonę nieboszczkę, Lily Lou Mut - zaczął. - A to jest nasz mały, Junior. Bardzo udany chłopak. Wielka szkoda że nie mogliśmy mieć jeszcze z ośmiu czy dziesięciu takich jak on. - Westchnął głęboko.

- No cóż, takie jest życie. Zamierzałem ożenić się młodo i mieć liczne potomstwo, jako że jestem ostatnim przedstawicielem starego świtnego rodu. Ale nie pozwolę mu wygasnąć. - Tu posłał złośliwe spojrzenie pod adresem wujka Lema. Wujek Lem zakwilił płaczliwie.

- Ja tego nie zrobię - powiedział Nie możesz mnie do tego zmusić.

- Jeszcze zobaczymy - rzekł Ed Pugh z pogroźką w głosie. - Być może twój młody krewny okaże się rozsądniejszy. Wiedz, że odegram w tym stanie poważną rolę i że moje słowo jest święte.

- Tata - zapiszczał w tym momencie Junior. - Tata, im już odpuszcza. Czy mogę tym razem dać im podwójnego, tata? Założę się, że jakbym poszedł na całość, to bym paru załatwił na dobre, tata... Hej, tata...

Ed Pugh zrobił taki ruch, jakby zamierzał znów zdzielić małego padalca, ale najwyraźniej się rozmyślił.

- Nie przeszkadzaj starszym, synku powiedział. - Tatuś jest zajęty. Pilnuj swoich spraw i siedź cicho. - Spojrzałem ponad jęczącym tłumem. - Zajmij no się jeszcze trochę tymi tam co stoją za ciężarówką. Jakoś za wolno kupują. Ale nie dawaj im podwójnego Junior. Musisz oszczędzać swoją energię. Ty jeszcze rośniesz.

I znowu odwrócił się do mnie. - Junior jest utalentowanym dzieckiem - rzekł, bardzo dumny. - Jak zresztą widzisz. Odziedziczył to po swojej ukochanej matce nieboszczce Lily Lou. Mówiłem ci już o niej. Ta jak powiedziałem, miałem nadzieję ożenić się młodo, ale wyszło inaczej: nie było mi do żeniaczki aż dopiero w sile wieku.

Znów wypiął pierś jak ropucha spojrzał z dumą w dół. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś był tak z siebie zadowolony.

- Nigdy nie spotkałem kobiety która by na mnie spojrzała..., to znaczy nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety - poprawił się - aż do momentu, kiedy zobaczyłem Lily Lou Mutz.

- Rozumiem, co pan ma na myśli powiedziałem grzecznie. I rzeczywiście rozumiałem. Bo musiał długo szukać żeby znaleźć kogoś, kto byłby sam na tyle brzydki, żeby spojrzeć na niego dwa razy. Nawet Lily Lou, biedactwo musiała się długo zastanawiać, zanim powiedziała tak.

- I tutaj właśnie - podjął Ed Pugh dochodzimy do twojego wujka Lema. Wygląda na to, że bardzo dawno temu rzucił na Lily Lou jakiś urok.

- Ja? Nigdy! - zaprotestował piskliwie wujek Lem. - A zresztą skąd mogłem wiedzieć, że wyjdzie za mąż i przekaże to swojemu dziecku? Kto w ogóle mógł przypuszczać, że Lily Lou kiedykolwiek...

- No więc rzucił na nią urok - nie przerywał sobie Ed Pugh. - Ale ona powiedziała mi o tym dopiero na łożu śmierci, rok temu: Bóg mi świadkiem, że by dostała ode mnie porządnie, gdybym wiedział, że mnie przez całe życie oszukiwała. A to Lemuel rzucił na nią urok i z kolei ona przekazała tę zdolność w dziedzictwie naszemu malcowi.

- Ja to zrobiłem tylko dla jej dobra, żeby ją ochronić - powiedział wujek Lem, dość szybko. - Ty wiesz, Saunk, że mówię prawdę. Biedna Lily Lou była tak koszmarnie brzydka, że ludzie nie mogąc się nieraz powstrzymać, ciskali w nią grudami ziemi. Całkiem machinalnie. I trudno mieć do nich pretensję. Sam czasem ledwie mogłem nad sobą zapanować.

Biedna Lily Lou, było mi jej naprawdę żal. Nie wiesz nawet, jak długo zwalczałem w sobie dobre odruchy, Saunk. Ale w końcu zawsze przez swoje złote serce właduję się w tarapaty. Pewnego dnia zrobiło mi się tej biedaczki tak żal, że obdarzyłem ją mocą czarodziejską. Każdy by tak postąpił na moim miejscu.

- A jak to zrobiłeś? - zapytałem, rzeczywiście zaciekawiony; pomyślałem, że kiedyś mogłaby mi się ta wiadomość przydać. Bo na razie jestem za młody, muszę się jeszcze wiele nauczyć.

No więc wujek Lem zaczął mi tłumaczyć, tylko że cała ta sprawa była dosyć zawikłana. Najpierw odniosłem wrażenie, że to jakiś cudzoziemiec nazwiskiem Gene Chromosome załatwił ją za wujka, ale jak już pojąłem tę część, to on znów zaczął coś bredzić o jakichś falach alfa w mózgu.

Bzdura. Tyle wiedziałem i bez niego. Każdy chyba musi zauważyć patrząc na człowieka, który myśli, jak te falki przechodzą mu przez głowę. Czasem obserwowałem dziadka, jak na przykład ze sześćset różnych myśli naraz spacerowało mu jedna za drugą w tę i nazad po tych małych ścieżkach w mózgu. Aż mnie to raziło w oczy.

- Tak to właśnie było, Saunk - nawijał dalej wujek Lem. - I ten mały padalec odziedziczył po niej cały ten kram.

- No to dlaczego nie wezwiesz tego Gene'a Chromosome'a, żeby odczarował Juniora i zrobił go takim samym jak inni -ludzie? - spytałem. - Przecież chyba nic prostszego. Spójrz, wuju. - Wpatrzyłem się w Juniora naprawdę z wielkim skupieniem, aż mi się oczy zrobiły takie dziwne, jak wtedy kiedy chce się zajrzeć w głąb jakiegoś człowieka.

No i rzeczywiście, zobaczyłem to, o czym mówił wujek Lem: małeńkie łańcuchy stworzonek, trzymających się jedno drugiego jak rzep psiego ogona, i cienkie pałeczki miotające się wewnątrz maciupeńkich komórek, z których każdy z nas jest zrobiony z wyjątkiem może Małego Sama, naszego Bobasa.

- Popatrz no, wujku - zwróciłem się do Lema. - Kiedy rzucałeś urok na Lily Lou, to po prostu oderwałeś te cienkie pałeczki i przylatałeś je do tych tułaj malutkich łańcuchów, co się tak szybko huśtają wte i wewte. Dlaczego ich nie przestawisz na miejsce i nie zrobisz tak, żeby Junior zaczął się zachowywać przyzwoicie. To powinno być bardzo łatwe.

- Owszem, to byłoby łatwe westchnął nade mną wujek Lem. Saunk, jesteś okropnie roztrzepany. Widzę, że nie słuchałeś tego, co do ciebie mówiłem. Nie mogę ich przesunąć z powrotem na miejsce tak, żeby nie zabić Juniora.

- Świat by tylko na tym zyskał powiedziałem.

- Wiem. Ale musisz pamiętać, co obiecaliśmy dziadkowi. Koniec z zabijaniem.

- Ale wujku! - wybuchnąłem. - To jest straszne. Chcesz powiedzieć, że ten mały, ohydny padalec będzie przez całe życie rzucał na ludzi uroki?

- A nawet jeszcze gorzej -. odparł biedny wujek Lem, prawie ze łzami. Przekaze tę zdolność swoim potomkom, tak jak Lily Lou przekazała jemu.

Przez chwilę rzeczywiście wydawało się, że rodzaj ludzki ma przed sobą jak najgorsze perspektywy. Ale po chwili roześmiałem się.

- Nie martw się, wujku - powiedziałem. - Nie ma powodu do zmartwienia. Spójrz na tego małego gada. Jestem pewien, że na całym bożym świecie nie znajdzie się stworzenie płci żeńskiej, które by pode-

szło do niego bliżej niż na milę. On już jest tak odrażający jak jego tata. A pamiętaj, że to przecież dziecko Lily Lou Mutz. Możliwe, że jak dorośnie, będzie jeszcze okropniejszy. Murowane, że się nigdy nie ożeni.

- I tu się mylisz - wpadł mi w słowa Ed Pugh, całkiem głośno. Był czerwony na twarzy i robił wrażenie wściekłego. - Niech ci się nie zdaje, że ja nie słyszę, co wygadujesz. I nie wyobrażaj sobie, że kiedykolwiek zapomnę to, co powiedziałeś o moim dziecku. Mówilem ci już, że mam bardzo mocną pozycję w mieście. Z talentami Juniora na dodatek zajdziemy wysoko.

Już jestem w radzie miejskiej i wiem, że w przyszłym tygodniu będzie wolne miejsce w senacie stanowym, chyba że ten stary bałwan, którego mam na myśli, jest mocniejszy, niż na to wygląda. Więc ci uprzedzam, Hogben, że ty i twoja rodzina zapłacicie mi za te zniewagi.

- Nikt nie powinien się obrażać, kiedy usłyszysz o sobie świętą prawdę powiedziałem. - Junior jest odrażającym typem.

- Trzeba się po prostu do niego przyzwyczaić - wyjaśnił jego tata. Wszystkich nas, Pughów, trudno zrozumieć. To znaczy do głębi. Ale mamy swoją dumę. Już ja dopilnuję, żeby nasz ród nigdy nie wygasł. Nigdy, słyszysz, Lemuel? .

Wujek Lem mocno zacisnął powieki i szybko potrząsnął głową.

- O, nie, mój panie. Nigdy tego nie zrobię. Nigdy, nigdy, nigdy...

- Lemuel - odezwał się Ed Pugh i zabrzmiało to naprawdę złowieszczo. Lemuel, czy chcesz, żebym napuścił na ciebie Juniora?

- Niech pan się nie fatyguje - powiedziałem. - Widział pan, chyba, jak próbował mnie z czarować razem z całym tłumem. Nic z tego, panie Pugh. Na Hogbenów nie ma sposobu.

- No to... - stary rozejrzał się dokoła, najwyraźniej gorączkowo kombinując. - Hmm, już ja coś wymyślę. Ja... masz miękkie serce Lemuel, tak? Obiecałeś dziadkowi, że nikogo nie zabijesz, co? No to otwórz oczy i spójrz na drugą stronę ulicy. Widzisz tę miłą staruszkę, która idzie o lasce? Co byś powiedział, gdyby Junior tak zrobił, żeby nagle padła martwa?

Wujek Lem zacisnął tylko jeszcze mocniej oczy

- Nie będę patrzył. Nie znam tej staruszki. Wszyscy się mnie czepiają. Dość tego. Prawdopodobnie ma bardzo silny reumatyzm.

- Dobra. A co byś powiedział na tę ładną młodą kobietę z dzieckiem na rękę? Spójrz, -Lemuel, co to za słodkie maleństwo. Jaką ma różową wstążeczkę na kapturku, widzisz? A jakie dołeczki w buzi. Junior, przygotuj się, żeby móc w każdej chwili rzucić na nich urok. Na początek niech będzie morowa zaraza. A potem...

- Wujku - powiedziałem czując się trochę nieswojo. - Nie wiem, co by na to powiedział dziadek. Może...

Wujek Lem na sekundę wytrzeszczył oczy. Spojrzał na mnie, spodobał, wściekły.

- Nic na to nie poradzę, że mam złote serce - rzekł. - Jestem przyzwyczajonym starszym panem, a wszyscy się mnie czepiają. Mam już tego dość. Dlatego tak sobie ze mną pozwalacie. A co mi tam, niech Ed

Pugh zniszczy cały rodzaj ludzki. Wszystko mi jedno, czy dziadek się dowie o tym, co zrobiłem, czy nie. Na niczym mi już nie zależy. - I roześmiał się dziko. - Koniec. Nie chcę nic wiedzieć. Muszę się zdrzemnąć, Saunk. - Z tymi słowy cały zeszywniał i upadł na twarz, jakby kij połknął.

Z nożem na gardle

No cóż, mimo całego zmartwvienia musiałem się uśmiechać. Wujek Lem bywa czasem sprytny. Wiedziałem, że uciekł w sen, jak zwykle, kiedy wpadnie w jakieś tarapaty. Tata mówi, że to katalepsja.

Wujek Lem padł na chodnik jak długi, zupełnie płasko, i nawet jakby się trochę odbił. Junior wydał ryk radości. Pewnie mu się wydawało, że ma coś wspólnego z tym upadkiem wujka. W każdym razie na widok kogoś leżącego i bezbronnego odruchowo podleciał i kopnął wujka w głowę.

Ale, jak już mówiłem, my, Hogbenowie, mamy twarde głowy, więc Junior wrzasnął i zaczął podskakiwać i tańczyć trzymając się za stopę obydwoma rękami.

- Już ja cię urządzę na amen! - wrzasnął do wujka Lema. - Na amen, ty... ty stary Hogbenie! - zaczerpnął tchu, zrobił się purpurowy na twarz i...

I wtedy właśnie się to stało: jakby się błysnęło.

Ja tam się specjalnie nie interesuję magią, ale wiedziałem, co się dzieje, tylko że byłem zaskoczony. Tata usiłował mi później wytłumaczyć, jak to działa. Powiedział, że ten czar porusza utajone toksyny zawarte w organizmie. W ten sposób Junior stał się czynnikiem katalitoksyicznym - a to dzięki zmianom w strukturze kwasu dezoksyrybonukleinowego, z którego zrobione są jego geny, i ich oddziaływaniu na fale kappa jego paskudnego mózdzku, podkreślone teraz do trzydziestu mikrowoltów. Ale co tam, znacie tatę. Jest za leniwy, żeby to wyrazić po angielsku. Po prostu wtedy, kiedy potrzebuje, kradnie te wszystkie głupie słowa ludziom prosto z głowy.

A sztuka polegała na tym, że cała trucizna, zapuszkowana w tym małym padalcu i przeznaczona dla tłumu ludzi, wybuchnęła nagle i poszła wujkowi prosto w twarz. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego czararu. A co najgorsze - skutecznego.

Bo we śnie wujek Lem nie miał żadnej odporności. Nawet rozpalonymi do czerwoności pogrzebaczami by go nie dobudził, ale tym razem nie było potrzeby. Leżał jak rażony piorunem.

Na naszych oczach zrobił się zielony na twarzy.

I jednocześnie jak nam wujek zzieleniał, zapadła jakaś okropna cisza. Spojrzałem zdumiony i dopiero wtedy zrozumiałem, co się dzieje. Wszystkie jęki i narzekania ucichły.

Ludzie pociągali z butelek z lekiem na ból głowy, przecierali czoła i uśmiechali się słabo, z ulgą. Cały nabój złego uroku Juniora poszedł w wujka Lema, no i oczywiście ludzi przestały boleć głowy jak ręką odjął.

- Co tu się dzieje? - zawołał jakiś znajomy głos. - Czy ten człowiek zemdlął? Dlaczego go nie ratujecie? Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem.

Był to chudy mężczyzna o miłej twarzy. Cały czas przepychając się do nas pociągał z butelki z lekiem, ale nie miał już przy sobie notatnika. Na widok Eda Pugh'a zrobił się czerwony ze złości:

- Ach, to pan, panie radny. Ciekawe, Jak to się dzieje, że gdziekolwiek jest jakieś zamieszanie, tam zawsze można spotkać pana. Co pan zrobił temu biedakowi? Tym razem posunął się pan chyba za daleko.

- Nic mu nie zrobiłem - odparł Ed Pugh. - Nawet go nie dotknąłem. Niech pan uważa na słowa, doktorze Brown, bo pan pożałuje. Mam w tym mieście niemało do powiedzenia.

- Patrzcie! - wykrzyknął doktor Brown wskazując na wujka Lema, a jego głos z podniecenia zrobił się piskliwy. - Ten człowiek umiera ! Wezwijcie pogotowie! Szybko!

Wujek Lem znów zmieniał kolor. Roześmiałem się troszkę, ale w środku, w głowie, oczywiście. Wiedziałem, co się dzieje, i muszę powiedzieć, że było to nawet dość zabawne. Każdy ma naturalnie w sobie całą masę bakterii, wirusów i tym podobnych stworzonek, które się w nim bez przerwy roją.

Urok, który Junior rzucił na wujka, straszliwie poruszył to stadko, które z miejsca zabrało się do roboty. A te mikrusy wcale nie są takie chore, na jakie wyglądają. Są po prostu białe, bo taka już ich uroda.

Jak tylko jakaś trucizna zaczyna nas rąbać, to zaraz te małe białe-

ski łapią za broń i ruszają w nas w środku do boju jak głupie. Takiej awantury, wrzasków i przekleństw nigdyście nie słyszeli. Regularna bitwa pod Bull Run.

Dosłownie coś takiego działo się w wujku Lemie. Tylko że my, Hogbenowie, mamy wewnątrz w sobie coś w rodzaju takiej specjalnej milicji. I trzeba przyznać, że została ona wezwana naprawdę szybko.

Przeklinali, kopali i walili wroga tak, że wujek z zielonego zrobił się czerwony i na całym ciele zaczęły mu występować duże żółte i niebieskie plamy. Robił wrażenie bardzo chorego. Oczywiście, tak naprawdę to nic złego mu się nie działo. Bo ta milicja, Hogbenów potrafi sobie dać radę z każdziusieńkim zarazkiem.

Ale rzeczywiście wyglądał odrażająco.

Chudy doktor przykucnął przy wujku i zbadał puls.

- Tym razem to już pan przeholował - zwrócił się do Eda Pugh. Nie wiem, jak pan to zrobił, ale posunął się pan za daleko. Ten człowiek jest dotknięty morową zarazą. Już ja dopilnuję, żeby się panem zajęto, panem i tym pańskim ancymonkiem.

Ed Pugh roześmiał się tylko krótko, ale widziałem, że jest wściekły.

- Niech pan się o mnie zbytnio nie troszczy, doktorze Brown - powiedział jadowicie. - Kiedy zostanę gubernatorem, a wszystko na to wskazuje - to ten szpital, z którego pan jest taki dumny, przestanie korzystać z funduszy stanowych. Koniec!

Wylegują się tylko po szpitalach i nic nie robią! Ale już ja ich zagnam do roboty. My, Pughowie, nigdy nie chorujemy. Jak zostanę gu-

bernatorem, potrafię zrobić lepszy użytek ze stanowych pieniędzy, niż płacić ludziom za to, żeby leżeli do góry brzuchem.

A doktor na to tylko:

- No gdzie jest ta karetka pogotowia?

- Jeśli pan ma na myśli taki duży, długi samochód, który okropnie hałasuje - powiedziałem - to jest mniej więcej w odległości trzech mil od nas, ale jedźcie szybko. A zresztą wujek Lem nie potrzebuje żadnej pomocy. Dostał po prostu ataku. U nas to rodzinne, nie ma się czego obawiać.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął doktor spoglądając na wujka Lema. Chcesz powiedzieć, że on to już miewał wcześniej i przeżył? - A potem popatrzył na mnie i uśmiechnął się nagle. - Aha, rozumiem. Bóicie się szpitala, co? Nie bójcie się. Nic mu złego nie zrobimy.

To mnie z lekka zdziwiło. Człowiek był bystry. Dlatego go trochę ocyganiłem. Szpital to nie jest miejsce odpowiednie dla nas, Hogbenów. Ludzie w szpitalach są cholernie wścibscy. No więc zawołałem na wujka Lema, i to całkiem głośno.

- Wujku Lem! Obudź się, ale szybko. Dziadek obedrze cię ze skóry, jak dasz się wziąć do szpitala. Chcesz, żeby się dowiedzieli o tych twoich dwóch sercach? I jak masz poprzyczepiane kości? I o twoim drugim żołądku? Wujku Lem! Obudź się czym prędzej!

Szkoda było gadania. Nawet nie mrugnął okiem.

I wtedy obleciał mnie strach nie no żarty. Wujek Lem nawarzył niezłego piwa. Cała odpowiedzialność spoczywała na moich barkach, a

ja naprawdę nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić. Mimo wszystko jestem jeszcze młody. Nie sięgam pamięcią dalej, jak do wielkiego pożaru Londynu, do czasów Karola II, tego z tymi lokami do ramion. Ale jemu, muszę przyznać, było z nimi nawet do twarzy.

- Panie Pugh - powiedziałem pan musi koniecznie wpłynąć na Juniora. Nie mogę pozwolić na to, żeby wzięli wujka Lema, do szpitala. Pan dobrze wie, że nie mogę.

- Junior, strzyknij no jeszcze raz rzekł pan Pugh, uśmiechając się naprawdę nieprzyjemnie. - Chciałbym sobie porozmawiać z tym młodym Hogbenem. - Doktor spojrzał, zaintrygowany, a Ed Pugh dodał: - Podejdź no tutaj ciut-ciut, Hogben. Chciałbym z tobą zamienić kilka słów na osobności. No, dawaj, Junior!

Żółte i niebieskie plamy wujka Lema dostały zielonych obwódek. Doktora jak gdyby zatkało, a Ed Pugh wziął mnie za ramię i odciągnął na bok. Kiedy znaleźliśmy się już poza zasięgiem słuchu tamtych, rzekł poufnie, świdrując mnie swoimi małymi oczkami.

- Mam nadzieję, Hogben, że wiesz, o co mi chodzi. Lem nigdy mi nie powiedział, że tego zrobić nie może, tylko że nie robi, więc ja wiem doskonale, że leży to w granicach waszych możliwości.

- Ale dokładnie o co panu chodzi, panie Pugh? - zapytałem.

- Nie muszę ci mówić. Chodzi mi o to, żeby nasz wspaniały ród nie zaginął. Chcę, żeby Pughowie byli zawsze. Wiem, jak mnie samemu było trudno się ożenić, a jestem przekonany, że Juniorowi nie będzie łatwiej. Dzisiejsze kobiety nie mają gustu za grosz.

Od czasu kiedy Lily Lou rozstała się z tym światem, nie było kobiety

na tyle brzydkiej, żeby wyszła za mąż za Pugh'a, i boję się bardzo, że na Juniorze nasz wspaniały ród się skończy. A biorąc pod uwagę jego talenty, nie mogę znieść tej myśli. Zróbcie tak, żeby nasz ród nie wygasł nigdy, to ja każę Juniorowi zdjąć urok z Lemuela.

- Ale jeżeli zrobię tak, że wasz ród nigdy nie wymrze - powiedziałem to tym samym, w chwili kiedy znajdzie się dość Pughów, skażę na śmierć wszystkie inne rody na całym świecie.

- Nie widzę w tym nic złego - odparł Pugh uśmiechając się krzywo. Uważam, że stanowimy silny, zdrowy trzon. Zgiął swoje goryle ramiona. Był wyższy, nawet jeszcze ode mnie. Nie ma chyba nic złego w tym, że Ziemia zostanie zaludniona przez jednostki silne i zdrowe. Uważam, że to kwestia czasu, byśmy my, Pughowie, opanowali cały cholerny świat. A ty nam w tym pomożesz, młody Hogbenie.

- O, nie! - zaprotestowałem. - Wykluczone! Nawet gdybym wiedział jak...

Przy końcu ulicy rozległ się okropny hałas i tłum się rozstał robiąc miejsce karetce pogotowia, która zatrzymała się przy krawężniku koło wujka Lema. Wyskoczyło z niej dwóch facetów ubranych w białe kitle, z jakimś płótnem na kijach. Doktor Brown wstał z wyraźną ulgą.

- No, myślałem, że już nigdy nie przyjdziecie - powiedział. - Ten chory musi przejść kwarantannę. Bóg raczy wiedzieć, co wykażą badania. Podajcie mi moją torbę, leży tam z tyłu. Potrzebny mi jest stetoskop. Coś dziwnego dzieje się z sercem tego człowieka.

W tym momencie miałem rzeczywiście duszę na ramieniu. Wiedziałem, że to już po nas, koniec Hogbenów. Jak się raz doktorzy i uczeni o nas dowiedzą, nie zaznamy chwili spokoju i do końca życia. A na

jakikolwiek odosobnienie możemy liczyć tyle co kaczan kukurydzy na polu.

Ed Pugh obserwował mnie z ohydny uśmiechem na swojej ciastowatej gębie.

- Zmartwiony, co? I nic dziwnego. Masz powody. Wiem o was, Hogbenach. Jeden w drugiego czarownicy.

A jak wezmą Lema do szpitala, to trudno przewidzieć, czego się tam u, niego doszukają. Pewnie dojdą do wniosku, że czarownictwo jest niezgodne z prawem. No, Hogben, masz pół minuty na podjęcie decyzji. Co ty na to?

Cóż miałem na to powiedzieć. Przecież nie mogłem mu dać obietnicy, której się domagał. Ani pozwolić na to, żeby cały świat się zaroił od jadowitych Pughów. My, Hogbenowie, żyjemy długo. Mamy bardzo poważne plany na przyszłość, kiedy to reszta ludzi zacznie nas doganiać. Ale gdyby do tego czasu resztę ludzi mieli stanowić sami Pughowie, to szkoda zachodu. Nie mogłem powiedzieć tak.

Ale z drugiej strony jeśli powiem - nie, to kładę krzyżyk na wujku Lemie. Wyglądało na to, że tak czy siak my, Hogbenowie, jesteśmy bez szans.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaczerpnąć tchu, zamknąć oczy i wydać z siebie, oczywiście w środku, rozpaczliwy krzyk.

- Dziadkuuu! - wrzasnąłem.

- Słucham cię chłopcze - odezwał się głęboki głos w moim mózgu. Zupełnie jakby dziadek cały czas był przy mnie i tylko czekał na moje

wezwanie. A przecież znajdował się w odległości jakichś stu mil, pograżony w głębokim śnie. Ale kiedy Hogben zawoła takim głosem, jak ja właśnie wtedy, ma prawo oczekiwać odpowiedzi - i to szybko. Doczekałem się.

Zwykle dziadek kluczy wtedy wokół tematu przez jakie piętnaście minut, biorąc cię w krzyżowy ogień pytań i nie słuchając odpowiedzi, i mówiąc we wszystkich możliwych starych dialektach, jak na przykład sanskryt, które do niego przyłgnęły w ciągu całego życia. Ale tym razem widział, że to nie przelewki, więc powiedział tylko: „Słucham cię, chłopcze”.

Otworzyłem przed nim swój umysł i szeroko jak podręcznik szkolny. Nie było czasu na pytania i odpowiedzi.

Doktor wyjmował właśnie ten swój przyrząd, żeby posłuchać, jak dwa serca wujka Lema biją nie w rytmie, i wiedzieliśmy, że jak tylko usłyszysz, oznacza to dla nas, Hogbenów, koniec.

- Chyba że pozwolisz mi ich pozabijać, dziadku - dodałem, wiedząc, że jeden rzut oka mu wystarczy, by ocenić sytuację od początku do końca.

Wydawało mi się, że milczał potem strasznie długo. Tymczasem doktor wyjął to swoje urządzenie i wkładał sobie do uszu, takie dwa czarne węże. Ed Pugh wpatrywał się we mnie jak jastrząb. Junior stał obok, cały napompowany jadem, i tylko wodził dokoła tymi swoimi złośliwymi oczkami, w kogo by tu nim strzyknąć. Miałem nadzieję, że wybierze sobie mnie. Opracowałem nawet taki sposób, żeby mu ten cały ładunek wrócił prosto w gębę i może by go nawet zabił.

- Mamy nóż na gardle, Sauny powiedział. Byłem nawet trochę zdzi-

wiony, pamiętam, że dziadek jak chce, to może mówić zupełnie potoczna angielszczyzną. - Powiedz Pughowi, że się zgadzamy.

- Ale dziadku... - zacząłem.

- Rób, jak ci mówię! - Aż mnie rozbolała głowa, tak stanowczo to powiedział. - Szybko, Saunk! Powiedz Pughowi, że będzie miał to, czego chce.

No cóż, nie śmiałem sprzeczać się z dziadkiem. Ale tym razem mało brakowało, żebym się zbuntował.

To chyba logiczne, że nawet Hogben też w końcu zdziecinnieje ze starości, więc pomyślałem, że wreszcie przyszło i na dziadka.

Ale powiedziałem mu w myślach tak: - Jeśli taka wola dziadka, to tak zrobię, ale bardzo niechętnie. Skoro już mamy nóż na gardle, to przynajmniej wypijmy ten kielich goryczy jak przystało na Hogbenów i niech cała ta trucizna zostanie zabutelkowana w Juniorze i się przynajmniej nie rozprzestrzenia po świecie. - A głośno zwróciłem się do pana Pugh: - W porządku, panie Pugh - odezwałem się naprawdę potulnie. - Będzie tak, jak pan sobie życzy. Tytko zdejmijcie ten urok z wujka. I to szybko, zanim będzie za późno.

Pughowie podbijają świat

Pan Pugh ma wielki, żółty automobil, nisko zawieszony i bez dachu. A jeździł nim piekielnie szybko. No i oczywiście z wielkim hałasem. Raz byłem przekonany, że przejechaliśmy małego chłopca, ale pan Pugh nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, a ja nie śmiałem nic powiedzieć. Jak się wyraził dziadek, mieliśmy nóż na gardle.

Było masę gadania, zanim ich przekonałem, że muszą najpierw pojechać ze mną do domu. Takie miałem polecenie od dziadka.

- A skąd ja mogę wiedzieć, czy nas nie zamordujecie z zimną krwią tam, na tym waszym pustkowiu? - zapytał pan Pugh.

- Mógłbym was zabić nawet i tutaj, gdybym chciał - odparłem. - I jeśli o mnie chodzi, chętnie bym to zrobił, tylko że dziadek nie pozwala. A jeśli dziadek mówi nie, to jest pan zupełnie bezpieczny. Jeszcze nigdy żaden Hogben nie złamał słowa.

No więc się w końcu zgodził, głównie dlatego, że mu powiedziałem, iż u nas nie ma mowy o żadnych czarach poza terenem domu. Załadowaliśmy wujka Lema do tyłu samochodu i ruszyliśmy w stronę wzgórz. Po awanturze z doktorem oczywiście.

Wujek Lem jest naprawdę bardzo uparty. Za żadne skarby nie chciał się obudzić, ale Junior zdjął z niego urok i to mu przynajmniej wróciło normalny, zdrowy kolor twarzy. Doktor nie mógł własnym oczom uwierzyć. Pan Pugh musiał mu nieźle zagrozić, żeby nas puścił. Jak odjeżdżaliśmy, siedział na krawężniku, mamrotał coś pod nosem i przecierał oczy, jakby był zamroczony.

Przez całą drogę czułem, jak dziadek studiuje Pughów przez moje myśli. Wzdychał i potrząsał głową - taka, jaka tam ma - i coś kombinował, czego ni w ząb nie mogłem pojąć.

Kiedy zajechaliśmy przed dom, nie było żywego ducha. Słyszałem, jak dziadek mamrocze coś i przewraca się na swoim jutowym worku na strychu, ale tata był niewidzialny, a jednocześnie zbyt pijany na to, żeby mi powiedzieć gdzie jest, kiedy go o to spytałem, spał. Mama jeszcze nie wróciła z zebrania parafialnego i dziadek kazał dać jej spokój.

- Załatwimy to we dwóch, Saunk rzekł, jak tylko wysiadłem z samochodu. - Przemyślałem sprawę. Pamiętasz te sanki, co to jest rano przysposobiłeś do zakwaszania śmietany dla mamy? Wyciągnij no je, chłopcze.

W mgnieniu oka zrozumiałem, o co mu chodzi.

- O, nie, dziadku! - krzyknąłem całkiem głośno.

- Do kogo mówiłeś? - zapytał Ed Pugh gramoląc się z samochodu. Nikogo nie widzę. To wasze obejście? Co za ohydna rudera. Trzymaj się mnie, Junior. Nie ufam tym ludziom ani trochę, jeśli nie patrzę im cały czas na ręce.

- Wyjmuj Bańki - powtórzył dziadek, bardzo stanowczo. - Mam już wszystko obmyślane. Wyślemy tych dwóch goryli w przeszłość, tam, gdzie jest ich miejsce.

Ale dziadku! - wrzasnąłem, tyle te tym razem w myślach. - Omówmy tę sprawę. Chciałbym, żeby mama przy tym była. A i tata jest na trzeźwo całkiem niegłupi. Dlaczego nie poczekamy, aż się obudzi? Uważam, że i Bobasa powinniśmy wciągnąć do pomocy. Nie wydaje mi się, dziadku, żeby wysłanie ich w przeszłość było dobrym pomysłem.

- Bobas śpi - odparł dziadek. Zostaw go w spokoju. Zasnął nad Einsteinem, moje biedactwo.

Najbardziej niepokoiło mnie to, że dziadek mówił zwykłą, potoczną angielszczyzną. Nigdy tego nie robi, kiedy czuje się normalnie. Pomyślałem sobie, że to chyba sędziwy wiek rzucił mu się na... jakby tu powiedzieć... na głowę.

- Dziadku - odezwałem się usiłując zachować spokój. - Czy ty nie widzisz? Przecież jeżeli wyślemy ich w przeszłość i damy im to, cośmy obiecali, to tylko pogorszy sprawę milion razy! A może masz zamiar wysadzić ich w roku pierwszym i złamać obietnicę?

- Saunk! - przywołał mnie dziadek do porządku.

- Wiem, dziadku. Jeżeli obiecaliśmy, że ród Pughów nie wygaśnie, to musimy tak zrobić, żeby nie wygasł. Ale jeżeli wyślemy ich w rok pierwszy, to znaczy, że przez cały czas, pomiędzy tym rokiem a terazniejszością, Pughowie będą się mnożyli i mnożyli. Z każdym pokoleniem będzie ich coraz więcej. Dziadku, zrozum, że zaraz potem, jak wylądują w roku pierwszym, grozi mi, że moje oczy zbiegną się razem, a twarz zrobi mi się tłusta i ciastowata jak u Juniora. Dziadku, jeżeli damy im tyle czasu na rozmnażanie, to przecież każdy człowiek na świecie będzie wkrótce Pughiem!

- Przestań pleść, ty przygłupie! wykrzyknął dziadek. - Rób, jak ci każę, durniu jeden!

Od razu poczułem się trochę lepiej, ale nie bardzo. Poszedłem i wyciągnąłem sanki. Pan Pugh zaczął się oczywiście wyklócać.

- Nie jeździłem na sankach, odkąd byłem taki mały - powiedział. - Dlaczego miałbym jeździć teraz? W tym się kryje jakiś podstęp. Nic z tego.

- Panie Pugh - odezwałem się albo pan nam przestanie przeszkadzać, albo nic z tego nie będzie. Wiem, co robię. Niech pan tu podejdzie i usiądzie. Junior, tu z przodu jest miejsce dla ciebie. O, tak, dobrze.

Gdyby Ed Pugh nie widział, jak bardzo jestem zmartwiony, nigdy by tego nie zrobił. Ale nie potrafiłem ukryć, co czuję.

- Gdzie jest twój dziadek? - zapytał niepewnie. - Chyba nie zamierzasz dokonać tego zupełnie sam, co? Taki młody głupek jak ty. To mi się wcale nie podoba. I co będzie, jeśli popełnisz jakiś błąd?

- Daliśmy słowo - przypomniałem mu. - A teraz łaskawie niech się pan zamknie i pozwoli mi się skupić. Chyba że pan nie chce, żeby ród Pughów nie wygasł?

- Taka była wasza obietnica - powiedział sadowiąc się na sankach.

Musisz nam to zapewnić. Powiedz nam jak będziesz zaczynał.

- W porządku, Saunk - odezwał się dziadek z poddasza, całkiem dziarsko. - A teraz patrz. Może się nauczysz tego i owego. Patrz dobrze. Skup wzrok i wybierz sobie jakiś gen. Jakikolwiek.

Niezależnie od tego, że cała ta sprawa zupełnie mi się nie podobała, nie mogłem nie odczuwać zainteresowania. Bo jak już dziadek coś robi, to robi ciekawie. Geny to piekielnie śliskie, wrzecionowate stworzonka, i do tego jeszcze bardzo malusieńkie. Mają mieszkanka w takich chudych facecikach, chromosomach, które występują parami

- pełno ich widać wszędzie, jak już się odpowiednio nastawi wzrok.

- Porządna dawka ultrafioletu powinna załatwić sprawę - mruknął dziadek. - Saunk, ty jesteś bliżej.

- Dobrze, dziadku - powiedziałem i zakręciłem światłem, które prześcało się przez sosny nad głowami Pughów. Ultrafiolet to jest kolor występujący po drugiej stronie widma, tam gdzie barwy dla większości ludzi nie mają już nazw.

Dziadek rzekł:

- Dziękuję ci, wnuku. Tak trzymaj. Geny zaczęły wirować dokładnie w tym samym rytmie co fale świetlne. Junior powiedział:

- Tata, coś mnie łąskocze.

- Zamknij się - odparł Ed Pugh. Dziadek coś mamrotał pod nosem. Jestem przekonany, że kradł słowa temu profesorowi, co go trzymamy w butelce, ale z dziadkiem nigdy nie wiadomo. Może to on je w ogóle na samym początku wymyślił?

- Euchromatyna - mruczał cały czas. - To powinno sprawę załatwić. Ultrafiolet powoduje mutację dziedziczną, a euchromatyna zawiera geny, które przekazują dziedziczność! Ale to ta druga substancja, heterochromatyna, wywołuje katastrofalne zmiany ewolucyjne.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Zawsze się przyda nowy gatunek. Hmm. Sześciokrotna porcja aktywności heterochromatynowej powinna wystarczyć. - Na chwilę zamilkł. A następnie podjął: - Ich am eldre and ek magti! W porządku, Saunk, zabieraj ultrafiolet. Cofnąłem go z powrotem na miejsce.

- Rok pierwszy, dziadku? - spytałem, pełen wątpliwości.

- To wystarczy - odparł. - Znasz-li drogę?

- O tak - zapewniłem go, schyliłem się i popchnąłem sanki.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszałem, był wrzask pana Pugh.

- Co ty wyprawiasz!? - krzyknął. O co tu chodzi? No, Hogben, gadaj! Gdzie my jedziemy? Ostrzegam cię, Saunk, że jeśli szykujesz jakiś głupi kawał, to cię poszczuję Juniorem. Rzucę na ciebie taki urok, że nawet tyyy...

Jego krzyk robił się coraz cieńszy i cichszy, i taki daleki, że w końcu przypominał brzęczenie komara. A potem w naszym obejściu zapanowała wielka cisza.

Stałem, cały napięty, gotów bronić się przed zamienieniem się w Pughę z całych sił. Te małe geny to straszne szelmy.

Wiedziałem, że dziadek popełnił fatalny błąd.

W momencie, kiedy Pughowie rąbnęli w rok pierwszy, odbili się i odskoczyli kawałek w czasie, wiedziałem, co się będzie działo.

Nie pamiętam dokładnie, ile lat temu był rok pierwszy, ale jedno jest pewne, że mieli dość czasu, żeby zaludnić całą planetę. Przytknąłem dwa palce do nosa, żeby oczy mi się nie zbiegły, kiedy poczułem, że ruszyły ku sobie, jak to u nas Pughów...

- Jeszcze nie jesteś Pughiem, synu - powiedział dziadek z chichotem.

Widzisz ich?

- Nie. A co się dzieje?

- Sanki zaczynają zwalniać - rzekł dziadek. - O, zatrzymały się. No, mamy rok pierwszy. Popatrz, jak ci wszyscy ludzie jaskiniowi się pchają, żeby powitać swoich nowych towarzyszy. No, no, no; ale mają bary. Szersze nawet niż tata Pugh.

A spójrz na te kobiety. Do kaduka, mały Junior jest przy nich kompletne przystojny. Jak przyjdzie czas, nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem żony.

- Ale, dziadku, to jest okropne... zaprotestowałem.

- Nie sprzeczasz się ze starszymi, Saunk - zachichotał dziadek. - Tylko patrz. Junior już działa. O, widzisz, jakiś dzieciak upadł na swoją paskudną buźkę. Zobacz, jak Junior obrywa kopa w tyłek od jego matki. A ojciec malca zaraz dorwie tatę Pugh'a. Popatrz, popatrz, jak się leją! Tylko spójrz! Ja myślę, Saunk, żeśmy się dobrze zajęli rodziną Pughów.

- Ale co z naszą rodziną? - zapytałem, niemal z płaczem.

- Już ty się nie martw - odparł dziadek. - Czas zrobi swoje. Poczekaj chwileczkę. Muszę się przyjrzeć. Hmm. Jedno pokolenie to wcale nie tak długo, jak się umie patrzeć. O, już mamy dziesięciu małych Pughów. Ajajaj, co za potworki I Skóra zdjęta z taty i dziadka.

Szkoda, że Lity Lou Mutz nie może zobaczyć swoich wnuków, naprawdę żałuję. Patrzaj no tylko, czy to nie sprytne? Każdy z tych malców dorasta w oka mgnieniu i każdy ma zaraz dziesięcioro małych.

Powiedziałem, że mu to załatwię, i załatwiłem:

Jęknąłem tylko.

- W porządku - rzekł dziadek. Przeskoczmy sobie kilka wieków do przodu. Oho, są w dalszym ciągu i mnożą się jak szaleni. I rodzinne podobieństwo dalej bardzo silne. Hmm... Jeszcze tysiąc lat i - proszę! Przecież to starożytna Grecja! Nic się nie zmieniło. Co ty wiesz, Saunk!. - zaczął chichotać, aż zrobił się czerwony na twarzy. - Pamiętasz może, jak ci kiedyś mówiłem, że Lily Lou Mutz przypominała mi taką moją starą przyjaciółkę Gorgonę? Nic dziwnego. To całkiem naturalne. Powinieneś zobaczyć pra-pra-prawnuki Lily Lou! A właściwie to nie, lepiej, że ich nie widzisz. No, no, no, to jest naprawdę interesujące!

Przez jakieś trzy minuty dziadek siedział cicho, a potem usłyszałem, jak się śmieje.

- Jest! Pierwszy wybuch heterochromatynowy. Teraz zaczynają się zmiany. Jakie zmiany, dziadku? - zapytałem. Czułem się strasznie.

- Zmiany - które dowodzą, że twój dziadek nie jest taki głupi, za jakiego go miałeś. Wiem, co robię. Niech się tylko zaczną, to już później pójdzie szybko. O, druga zmiana. Popatrz tylko na mutacje tych małych genów!

- To znaczy, dziadku, że ja się mimo wszystko nie zamienię w Pughę? Ale, dziadku, ja myślałem, że obiecaliśmy Pughom, że ich ród nigdy nie wygaśnie?

- I dotrzymujemy obietnicy - odparł dziadek z godnością. - Geny będą przekazywały cechy Pughów aż do pierwszych tręb sądu osta-

tecznego, tak jak powiedziałem. A wraz z nimi i moc czarodziejska. - Roześmiał się. - No, trzymaj się, Saunk - ostrzegł mnie. Kiedy tata Pugh odjeżdżał do roku pierwszego, rzucił groźbę, o ile dobrze pamiętam, prawda? I nie żartował. Zaraz cię dosięgnie, uważaj.

- O Boże! - jęknąłem. - Do czasu, kiedy się tu znajda, będzie ich już z milion. Co robić, dziadku?!

- No cóż, szykuj się - odparł dziadek bardzo niesympatycznie. - Milion, powiadasz? Skąd! Znacznie więcej.

- Ilu? - spytałem.

Zaczął mówić. Możecie mi wierzyć, albo nie, ale mówi mi do tej pory. Tak długo to trwa. Bo tylu ich jest.

Bo to było mniej więcej tak jak z rodziną Jukesów, która mieszkała na południe od nas. Ci źli byli zawsze ciut-ciut gorsi od swoich dzieci i ten sam cholerny przypadek przytrafił się Gene'owi Chromosome'owi i jego, jakby tu powiedzieć, całemu szczepowi. Pughowie zostali Pughami i zachowali swoją czarodziejską moc. No i mimo wszystko. trzeba przyznać, że opanowali świat.

Ale mogło być gorzej: Mogli na przykład zachować swój wzrost. A zamiast tego zrobili się mniejsi - dużo mniejsi. Kiedy ich znałem, byli więksi od przeciętnego człowieka - a przynajmniej tata Pugh.

Ale jak już się przefiltrowali przez tyle pokoleń, od roku pierwszego, to się skurczyli do tego stopnia, że wielkością przypominali te maleńkie blade stworzonka, co to siedzą we krwi. No i wzięli niezłe cięgi.

Geny Pughów tak oberwały na skutek wybuchów aktywności

heterochromatycznej, o których mówił mi dziadek, że zupełnie straciły fason. Można je było śmiało nazwać teraz wirusami, no a wirus to prawie to samo co gen, tyle że trochę żwawszy. Ale mój Boże, to tak samo, jakby ktoś powiedział, że chłopcy Jukesów są dokładnie tacy sami jak George Washington!

W pewnym momencie - poczułem. Zły urok rąbnął mnie, i to porządnie. Kichnąłem jak z armaty. A potem usłyszałem, jak i wujek Lem, który w dalszym ciągu leżał w tym żółtym samochodzie, kicha przez sen. Dziadek dalej truł o, tym, ilu to Pughów się na mnie właśnie w tej chwili szykuje, więc nie było sensu zadawać żadnych pytań. Nastawiłem oczy inaczej i spojrzałem w sam środek tego kichnięcia, żeby zobaczyć, co mnie tak połaskotało...

Rany! W życiu nie widzieliście tylu Pughów Juniorów naraz! I to był oczywiście ten urok. Załatwiali tak zresztą wszystkich dokoła - jak popadło. I będą to robili zawsze, no bo ich ród, zgodnie a obietnica dziadka, ma nigdy nie wygasnąć.

Podobno niektórych wirusów nie do się zobaczyć nawet i przez mikroskop. Uczonych czeka jeszcze niezła niespodzianka. Kiedyś, kiedy się naucza naprawdę dobrze nastawiać wzrok i przyglądać im rzeczywiście z bliska; to zobaczą, jak te małe ohydki o ciastowatych gębach, z oczkami prawie jedno na drugim, uwijają się jak w ukropie, na wszystkich dokoła rzucając urok.

Trwało to dość długo - bo od roku pierwszego - ale Gene Chromosone jakoś sobie wreszcie z pomocą dziadka poradził. Junior Pugh, jakby tu powiedzieć... to już nie jest ta dawna gangrena. -Zaledwie migrena, choć muszę przyznać, że i to też nic przyjemnego,

przekład : Zofia Uhrynowska - Hanasz

koniec